№ 52. Warszawa, dnia 13 (25) Grudnia 1875 roku.

TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH,

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Korespondencya zagraniczna z Paryża.

PRZEZ

Autorkę Kroniki zagranicznej w Biblijotece Warszawskiej.

Teatr: *Podróż na księżyc*, z muzyką Offenbacha. *Moja córka i mój majątek*, komedya w dwóch aktach Legouv'ego. Konkurs dramatyczny, ogłoszony przez Towarzystwo Franko-Amerykańskie *Liwingstona*.

Sztuka dramatyczna a z nią teatr francuzki, mimo potwarzy rozsiewanych przez Niemców, mimo błędnego częstokroć kierunku swego, panuje dziś w świecie tak samo jak panował przed klęskami Francyi. Nie mówiąc już o innych stolicach, sam nawet Berlin, niewzruszony protestacyami Germanofilów, przedstawia sztuki tłomaczone z francuzkiego, aby ocalić scenę własną od grożącego jej upadku. Kto czytał sprawozdania miejscowych dziennikarzy, wie jak zachwyca Berlińczyków *Podróż w osiemdziesięciu dniach około świata*.

Owa sztuka obmyślona tak szczęśliwie, doczekała się w ciągu czternastu miesięcy, czterystu przedstawień w Paryzkim teatrze *Porte Saint Martin*. Wymowny to dowód, że publiczność francuzka w miejsce *Orfeuszów* i *Pięknych Helen* któremi karmiono ją do przesytu, zapragnęła utworów opartych na myśli czerstwiejszej. Rzucony posiew wydaje już owoce. Widzimy to z nowej fantasmagorycznej sztuki p. t. *Podróż na księżyc* która w teatrze Gaite, zasłużone wywołuje oklaski.

Autorowie tej komedyo-opery, poprowadzili rzecz oryginalnie, ożywili ją prawdziwym dowcipem. Początek sztuki przypomina popularną powieść Verna, w której autor mieści podróżnych swoich w olbrzymiej bombie—nabija nią działo długie na kilka kilometrów, i wystrzela prosto na księżyc. Takim to sposobem dostaje się tam król Vlan, syn jego Kaprys i minister Mikroskop.

Wszystko tam inaczej jak na ziemi; nowe nieznane krajobrazy przedstawiają się oczom. Gmachy innym budowane kształtem, obyczaje mieszkańców odmienne też od naszych. Król Kosmos włada patryarchalnie księżycowym ludem, który miłuje go jak ojca. Pałac królewski cały ze szkła wybudowany, żadna też czynność pańska, żaden ruch, nie ujdzie badawczego oka poddanych. Kiedy Kosmos pracuje, lud swoim poklaskiem okazuje mu radość; gdy się zdrzemnie budzi go do pracy; kiedy biesiaduje zbyt długo, okrzyk niezadowolenia, przerywa niewczesną biesiadę. Tym sposobem w tak dziwnem społeczeństwie, doskonała panuje harmonija.

Podróżni z ziemi wpadają w coraz to nowy podziw. Mikroskop dowiaduje się zdumiony, że minister finansów w państwie księżycowem, skazany został na wygnanie za to, że wzbogacił skarb państwa kosztem własnego majątku. Rzecz to na ziemi niesłychana! Inne zwyczaje równie dziwaczne. Lekarzom nie wolno wychodzić z domu; trzymani wszyscy na łańcuchu pod kluczem, aby nie zabijali łatwowiernych.

Król Kosmos przyjmuje gościnnie króla Vlana; obaj monarchowie rozprawiają o najważniejszych zagadnieniach społecznych. Tymczasem królewicz Kaprys poznaje cudną królewnę Fantazyę. Pokochał ją z pierwszego rzutu oka, lecz królewna nie dzieli jego uczuć. W tym kraju miłość całkiem nieznana. Tutejsza gleba wydaje wszystko prócz jabłoni, żadna też kobieta nie mogła dotąd skosztować zakazanego owocu. Ale książę Kaprys zabrał z ziemi rumiane jabłuszko; zmartwiony obojętnością królowej zjada je na pociechę. Ziarnka upadają, i oto zaledwie że dotknęły żyznej gleby, wypuszczają z niej drobną płonkę, rozrastającą się w drzewo, pokrywają kwiatem i owocami. Wszystko to trwa ledwie kilka minut. Kobiety otaczają cudowną jabłoń; kosztują niebezpiecznych owoców. Serca ich przemówiły.

Fantazya odpowiada na czułe spojrzenia królewicza; król Kosmos zakochany w żonie; królowa tymczasem ściga okiem starego Mikroskopa. Zamęt niesłychany na księżycu.

Rozgniewany król piorunuje na gości którzy przynieśli z ziemi taki bezrząd, rozkazuje zamknąć ich na lat pięć w kraterze wygasłego wulkanu. Zaledwie że ich uwięziono, wulkan wybucha słupem ognistym i wyrzuca w górę jeńców. Następuje zgoda. Królewicz zaślubia królewnę Fantazyą, król z ministrem powraca na ziemię.

Wystawa sztuki przepyszna, balet w śniegu prawdziwie oryginalny, muzyka Offenbacha przewyższa inne jego utwory. Humorystyczne alluzye ożywiają rzecz i co chwila wywołują grzmot oklasków. Słowem dowcipna ta fantasmagorya, może liczyć na trwałe powodzenie.

Z wyżyn księżycowych, wstąpmy teraz w świat rzeczywisty: przejdźmy do najpowszedniejszych warunków naszego ziemskiego życia. Wprowadzi nas tu dwuaktowa komedyjka pana Legouvé, pod tytułem: *Moja córka i mój majątek*. Autor przerobił ją wierszem z małej pełnej życia powiastki w której rozbiera ważne zagadnienie społeczne, stosunek rodziców do dzieci.

W pierwszym akcie państwo Desgranges wydają córkę jedynaczkę, za młodego krewnego Henryka. Ojciec oświadcza, że daje Magdalenie 100,000 franków posagu. Zakochany Henryk chętnieby na tem poprzestał, lecz przezorniejszy jego ojciec żąda dwa razy tyle. Rozgniewany odchodzi, pociągając syna za sobą. Małżeństwo o mało nie zerwane. Następuje żywa scena w rodzinie Desgranges. Matka usiłuje zmiękczyć nieprzebłaganego małżonka, po daremnych prośbach idą gorzkie wyrzuty.

— Ojcze! ja tego nie przeżyję! woła zapłakana Magdalena.

— I ja wstąpię do grobu za nią, dodaje matka za-

lewając się łzami. Świat nie widział takiego jak ty samoluba!

Pan Desgranges trwa uporczywie przy swojem: przyrzeka że nie ustąpi na krok.

Po chwili wraca Henryk. Ojciec uległ jego błaganiom. Ślub niebawem nastąpi.

Między pierwszym a drugim aktem upłynęło lat trzy. Młodzi małżonkowie kochają się gorąco jak w pierwszym dniu ich pobrania, lecz stan ich finansowy bardzo zachwiany; dochód z rozchodem wcale nie idą w parze. Zaciągnęli dług, który bardzo ich ciśnie. Henryk szukając ratunku, wdał się w jakąś niepewną spekulacyę. Poręczył majątkiem i osobą za ludzi złej wiary; sprawa ta grozi ruiną i więzieniem. Jak tu zażegnać katastrofę? Biedna matka przypuszczona do tajemnicy sprzedaje brylanty własne, aby przyjść w pomoc dzieciom. Pan Desgranges wie o wszystkiem, lubo rzecz starannie przed nim ukrywana. W stanowczej chwili, korzystając z uroczystości srebrnego wesela, oddaje żonie wykupione brylanty, płaci długi, wybawia zięcia z niesłychanych kłopotów.

— A co, wszak miałem słuszność? mówi do rozrzewnionej rodziny. Nie nazwiecie mnie teraz samolubem! Ojciec powinien bogatszym być niż dzieci, chociażby dla tego, aby mógł zabezpieczyć ich od hańby i nieszczęścia! Pamiętaj tylko Henryku nie powtarzaj więcej upadku.... bo i ja powtórzyć nie będę mógł pomocy.

Dykcya lekka, swobodna, żywa, podnosi wartość tego maleńkiego utworu. Charakter pana Desgranges doskonale oddany.

Amerykanie jak wiadomo sposobią się do obchodzenia w sierpniu, stoletniej rocznicy niepodległości swojej. Aby uczcić godnie tę uroczystość, komitet Franko-Amerykański ogłosił kilka miesięcy temu konkurs na utwór dramatyczny. Treść jego ma być wzięta z czasu wojennych zapasów, które sto lat temu rozstrzygnęły los Ameryki północnej. Uderzył nas warunek zastrzeżony w programacie, aby autorowie unikali wszystkiego, cokolwiek mogłoby obrazić Angliją, jak gdyby samo przypomnienie odniesionego nad nią tryumfu, nie było już dość upokarzającem. Nie wiemy jak autorowie potrafią żeglować, nie zawadziwszy o Charybdę ani o Syllę. Mimo tak twardego warunku, sześćdziesięciu autorów nadesłało już swoje utwory. Sąd międzynarodowy, złożony z reprezentantów krytyki tak francuzkiej jak i amerykańskiej, wybrał już pięć najcelniejszych dramatów i przedstawił je wyższej instancyi. Areopag ten składa się z pięciu członków akademji francuzkiej, prezyduje w nim Wiktor Hugo. Wybór sztuki dotąd niewiadomy. W każdym razie wnosić wypada, że teatr wzbogaci się znakomitym utworem. Uwieńczony dramat ma być niebawem przełożony na wszystkie języki, przedstawiać go będą w czasach obchodu po różnych stolicach ucywilizowanego świata.

Konkurs poetyczny rozsądzony niedawno przez Akademiję ogłoszony był w roku zeszłym. Jako przedmiot do poematu zadano: *Zycie i śmierć Liwingstona.* Poeta obszerne miał pole iść w trop za wielkim przewodnikiem, na skwarne stepy afrykańskie nie deptane dotąd ludzką stopą, w pośród dzikich negrów, których dusza równie czarna jak i powłoka ciała, a których barbarzyństwo tak daleko dochodzi, że sprzedają nikczemnym handlarzom własną dziatwę, za flaszę palącego trunku. Godny zaprawdę pieśni ten nowożytny bohater, występujący do walki z podwójnym orężem. Tu widzimy go jak wytrwale dociera do źródeł Nilu, tam jak z serc ludzkich skażonych ciemnotą, wydobywa żywe zdroje miłości: słyszymy go jak w końcu mozolnego zawodu, wypowiada wielkie słowo: „Ze wszystkich odkryć moich, jedno uważam za najważniejsze: odkryłem że większość ludzi na ziemi, zacna jest i poczciwa!“

Bogaty to był temat, powtarzamy, szkoda tylko że akademija podcięła skrzydła poetom, kładąc za konieczny warunek, aby poemat liczył najwięcej dwieście wierszy.

Stu dwudziestu poetów odpowiedziało na to wezwanie. Z pomiędzy nich pan Guiard otrzymał nagrodę akademicką. Rozpoczyna on poetyczny obraz, pięknem określeniem, jak łatwo bohaterom walczyć, gdy odgłos trąb bojowych, podnieci ich odwagę, gdy rozwinięty sztandar podnosi ich do chwały:

Choćbyś serce miał z głazu, ten głaz się rozpryska,
I płomień ze zgasłego wybuchnie ogniska!

Nie w taki sposób walczył wielki podróżnik: jego siła spoczywała w nim samym: zewnętrzny czar nie oddziaływał na nią.

Ty idziesz sam w milczeniu, idziesz Liwingstonie,
Zapaśniku Chrystusa, nauki szermierzu,
Ty rozbijasz swój namiot na głuchem wybrzeżu,
By wydrzeć tajemnice ukryte w puszcz łonie,
A gdy miłość w twej duszy nowe siły budzi,
Zatknąć drzewo żywota w pustem sercu ludzi,
Zapory nie przełamią hartu woli męzkiej,
Nie ustraszą cię trudy, nie złamią cię klęski,
Twoim wrogiem śmiertelnym straszliwy żar słońca,
I piasek, co zaściela rozgorzałe stepy,
I orkan szalejący w przestrzeniach bez końca,
I człowiek od żywiołów stokroć bardziej ślepy,
Lecz gdy szermierz w myśl Bożą raz oręż dobędzie,
Choć mu ostre pociski dosięgną w głąb łona,
Póki tchu, już mu w świętym nie ustać zapędzie,
Krew co wytrysła z piersi, nie próżno stoczona!

Ażaliż cię zrozumie, zapytuje poeta, owa horda ludzka zanurzona w wiekowej ciemności:

Co żyje niepodparta bezpieczną praw tarczą?
A skoro Bóg prawdziwy nie przemówił do niej,
Przed czczym nawet bałwanem głowy nie pokłoni,
Bo na pojęcie bóstwa jej myśli nie starczą.
I tak śpi pogrążona wśród nocy ponurej,
Nie szuka w niebie ulgi gdy ją boleść gniecie,
Źrenic w ziemię utkwionych nie wzniesie do góry,
Na pociechę o lepszym nie zamarzy świecie!

Poeta opiewa trudy bohatera, chwilowy powrót do ojczystej ziemi aby skąpać ducha w ożywczych jej krynicach, i z krzepką siłą wystąpić znów do walki. Odrodzony szermierz, wraca na pole godnych siebie zapasów.

Nic ciebie nie ustraszy, nic cię nie powstrzyma!
Chciałbyś wedrzeć się jeszcze w głąb ciemnej pieczary,
Wkroczyć nogą zwycięzką w kryjówkę olbrzyma,
Tam, zkąd Nil słonecznemi ożywiony skwary,
Szeroko mętne wody na pola roztacza,
I rozradza w sto kłosów posiewy oracza!

Daremno! szermierz padł na wyłomie. Śmierć wytrąciła oręż, ze skrzepłej jego ręki.

Twa godzina uderza, ty stopy znojnemi
Jak Mojżesz obiecanej nie dosięgniesz ziemi!
Tyś upadł, pot śmiertelny z twego pociekł czoła,
Dzieło twe dokonane, Pan cię wnet powoła!
Rozwiń swobodnie skrzydła, leć w nieznane światy,
Polot duszy więzienne tamowały kraty.
Śmierć rozmyka na oścież tajemnicze wrota,
Umierasz w pełni chwały i w pełni żywota;
Umierasz dla nauki, umierasz za wiarę!
O! niechaj pozazdroszczą twej doli szczęśliwej
Ci, co jeszcze po ziemi włóczą kości stare:
Umarli już za życia, gdyś ty w grobie żywy.

Ogarną ziemię w okół promienie twej chwały,
Bo ludzkość z nieśmiertelnych twych plonów korzyst
Twym rodem niech się szczyci Anglija macierzyst
Twą śmiercią Liwingstonie zbogacon świat cały!

Krytycy pytają dla czego poeta nie zobrazował ty
pustyń afrykańskich, po których koń Farysa prześc
ga w locie uragany; inni znów pytają czemu spuśc
zasłonę na tryumfalny powrót zwłok Liwingstona d
ziemi ojczystej, na uniesienie z jakiem lud witał
drogie zwłoki, i grzebał je w panteonie westminste
skim? Czyż podobna było, pytamy, zmieścić to wsz
stko w dwustu wierszach, oznaczonych ściśle prz
akademiję?

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Oskarżenie to było tak nowem, że wszystkich oc
zwróciły się na przemian na dwie dziewczyny, jak
badając ile było w niem prawdy. Eligija z konwu
syjnie zaciśniętemi wargami, Stasia z hardem cz
łem wzniesionem w górę niesprawiedliwem podejrz
niem. A jednak podejrzenie to wspierało się na si
nych pozorach, tak że po chwili namysłu, błyskaw
ca przekonania oświeciła panią Pelagiję, zrozumia
że była głuchą i ślepą na to co się działo w jej ocza
i potępiła Stasię.

Ona zrazu chciała się bronić, chciała się tłom
czyć, podejrzenie to było zbyt ohydne.

— Z mego rozkazu? powtórzyła, Elciu? czy
możesz to powiedzieć?

— Alboż sądzisz że nie widziałam co się dzie
pochwyciła gwałtownie Eligija, alboż to dzisiaj
raz pierwszy dostrzegłam rozmowę pomiędzy wa
Nazywacie mnie dziwaczką, może szaloną, może w
ryatką. Mamże być spokojną i wdzięczną? mam
ci dziękować że korzystając z mojej choroby, przyj
ni, łatwowierności, wydarłaś mi narzeczonego.

Mówiła to wśród łkań przerywanym głosem, tu
się do matki, która ją trzymała w objęciu, i w
z nią płakała pocichu.

— Elciu, powtórzyła drugi raz Stasia z całą s
oburzenia na to co jej zarzucali.

— Nie nazywaj mnie tak, wstrząsnęła się Eligi
nie udawaj przyjaźni której nie miałaś w sercu.

— Nie udawałam nigdy, zawołała biedna dz
wczyna.

— Jakto? czy mi zaprzeczysz że od jakiegoś cza
nieustannie rozmawialiście z panem Feliksem, p
wiedz czy zaprzeczysz?

— Nie, bynajmniej.

Eligija na to wyznanie uśmiechnęła się gorzko.

— Czy zaprzeczysz mi, mówiła dalej, że wczo
spotkałaś się prawie w drzwiach domu z panem F
liksem?

— I temu nie przeczę.

— Trudnoby to było, siedziałam w oknie i widziałam wszystko. Poszliście razem.

— To prawda, pan Feliks odprowadził mnie do drukarni.

Eligija znowu spojrzała po obecnych, jak gdyby biorąc ich na świadków swojej krzywdy i przewrotności kuzynki.

— A dzisiaj, zawołała, dzisiaj cóżeście mówili? Czemu nie dopuściłaś go do mnie?

Stasia smutnie pochyliła głowę, zrozumiała nie tylko że pozory walczyły przeciwko niej, ale i to że w pozorach tych była cząstka prawdy. Zazdrość Eligji rozświetliła jej niepojęte postępowanie i słowa pana Feliksa.

— To być nie może, szepnęła z boleścią, to być nie może byś temu wierzyła.

Ale głos jej był daremnym, Eligija była okrutną jak okrutnemi umieją być nieszczęśliwi. Czuła się pokrzywdzoną w najdroższych uczuciach, zawiedzioną we wszystkiem, i nienawidziła całem sercem mniemanej sprawczyni swego nieszczęścia.

— A więc, zawołała z dzikim tryumfem, ja zapytam pana Feliksa co myśli o nas obydwóch, zapytam go wręcz, niech wybiera, niech ma odwagę powiedzieć to głośno.

— Nie czyń tego Eligijo, na miłość Boga nie czyń tego.

— A to dla czego?

— Dla tego żem nigdy nie dała powodu do podobnego pytania.

— Więc ty tak bardzo lękasz się prawdy? pytała Eligija, głosem w którym łzy mieszały się z szyderstwem.

— Zapytaj mnie raczej, zawołała Stasia, co ja myślę o panu Feliksie.

Powiedziała to z taką siłą przekonania, z takim naciskiem prawdy że mimowolnie Eligija umilkła, jakby podbita znowu czarem jej wyższości.

— Co ty myślisz o panu Feliksie, powtórzyła wreszcie powoli, jakby nie rozumiejąc że pod tym względem mogą być dwa zdania.

— Tak jest, pochwyciła Stasia, pan Feliks jest piękny, młody, wykształcony, posiada zapewne majątek i stanowisko, nie jestem tak zarozumiała by stawać z tobą w parze i mieć pretensyę do jego uwagi. A jednak pomimo to wszystko, przysięgam ci, że gdyby nawet żądał mojej ręki, nie oddałabym mu jej nigdy.

— Czemuż? zawołała rozburzona Eligija.

— Mogłabym odpowiedzieć, że nie jestem tak złą by czyhać na cudze dobro, na serce które do ciebie należy. Byłoby to dla mnie dostateczną przyczyną, przecież mam inną jeszcze, stokroć ważniejszą dla ciebie, która mnie nie znasz, i uwierzyć mi nie chcesz.

Umilkła jakby trudno jej było wypowiedzieć serdeczną tajemnicę, i w ostatniej chwili cofnąć chciała nierozważne wyznanie.

— I cóż to za przyczyna? pytała dalej niemiłosierna Eligija.

— Nie kocham pana Feliksa i kochać go nie mogę.

— Ale czemuż, czemuż?

— Bo kocham innego.

Było tyle prostoty w tych słowach, Stasia wypowiedziała je z taką siłą tłumionego uczucia, iż Eligija zawahała się w swojem przekonaniu.

Stasia też nie czekała dłużej, i w milczeniu wyszła z salonu. Ciążyła jej obecność wszystkich świadków tej bolesnej rozmowy, ciążyły podejrzenia których była celem, a nadewszystko usprawiedliwienie jakie wypowiedzieć musiała. Czuła się smutną, upokorzoną, zbolałą, jak po bezskutecznej walce.

Po jej wyjściu była chwila ciszy, burza zażegnana jej szlachetnem słowem, uspokoiła się, ale na czas krótki. Eligija, matka jej, siostry, milczały dopóki były niejako pod wpływem Stasi. Dopiero gdy usłyszały drzwi zamykające się za nią jedne po drugich, powróciły do zwykłych podejrzeń i wrzawa zapanowała w salonie.

Eligija płakała, matka jej narzekała głośno na sierotę, która na to tylko weszła w ich dom, by wnieść do niego nieszczęście. Józia i Leosia, chociaż wcale nie podzielały cierpienia siostry, jednak jako niedobre dziewczyny brały jej stronę przeciw Stasi, której niecierpiały w duchu, za łagodność i spokój, za hardą dumę sierocą, niepojętą dla nich.

Niewiadomo jak długo byłby trwał ów wrzaśliwy sejm niewieści, gdyby nie przerwało go nagłe wejście samego gospodarza domu.

Jak zwykle był on jak najmniej przypuszczany do spraw domowych, rozcinał je bowiem zwykle wbrew woli i chęci reszty rodziny. Teraz zaś twarz jego była tak zafrasowana a wzrok ponury, iż zapewne żona i córki, nie odważyłyby się zaczepić go o cośkolwiek, gdyby nie wyjątkowa ważność oskarżenia ciążącego na Stasi.

Pan Kalasanty spojrzał po obecnych z pod oka, swoim zwyczajem i nie domyślając się bynajmniej wypadków jakie miały miejsce, zapytał o siostrzenicę.

Pytanie to było ową kroplą wody, co przelewa naczynie zbyt pełne. Kobiety wybuchnęły gwałtownie.

— Stasia, Stasia! zaszlochała Eligija.

— Ślicznie się tu znajduje, tego mi tylko brakowało! wołała pani Pelagja.

— Ślicznie, ślicznie, nie ma co mówić! powtarzały chórem młodsze córki.

Pan Kalasanty zatrzymał się uderzony jednozgodnością oskarżeń podnoszących się ze wszystkich kątów pokoju.

— Cóż to znowu, czyście poszalały, odezwał się po chwili, wybrałyście sobie czas właściwy. Mogę teraz myśleć o waszych głupich swatach.

— Ależ mój mężu, ośmieliła się wtrącić sama pani, przerażona rozpaczą najstarszej córki.

— Co! przerwał groźnie pan Kalasanty, cóżto za kaprysy w domu, wiesz iż tego nie znoszę. Cóż wam znowu ta dziewczyna zawiniła? Jest wam solą w oku wiem o tem, bo się nie stroi jak głupia, nie wyciera ogonami ulicy, nie przypina peruk na głowę, i ma więcej rozumu jak wy wszystkie razem, rozumiecie.

— Tak, mruknęła Józia, najśmielsza z całej rodziny, którą te pochwały z ich ujmą oddawane Stasi przywiodły do ostateczności. Stasia nie stroi się do prawdy ale ze swoją skromną minką, chłopcom głowy zawracać umie.

— A tobie co do tego? Ja wam zawsze powiadam że chłopcy nie tacy głupi jak wy myślicie i nie złapią się na wasze plewy.

— Kiedy tak, odparła zuchwale Józia, to Stasia weźmie sobie pana Feliksa, a Elcia zostanie na koszu i ojciec pewno powie że on dobrze zrobił?

Po tym wybuchu nie czekając odpowiedzi, wybiegła trzasnąwszy drzwiami. Drobiński spojrzał po obecnych i wyczytał zapewne z ich twarzy, potwierdzenie tej wiadomości, bo tupnął nogą i zawołał:

— Cóż się tu stało, czy nie umiecie mówić? Co ta dziewczyna mi plecie?

Na to wyraźne zapytanie, łzy Eligji się wzmogły a matka widząc że nie jest wstanie sama odpowiedzieć, zabrała głos z uroczystą powagą wymaganą przez okoliczności.

— Józia powiedziała prawdę, Stasia zbałamuciła pana Feliksa.

Pan Kalasanty na tę wiadomość, zaklął straszliwie bo szczerze pragnął pozbyć się z domu najstarszej córki, gniew jego jednak nie zwrócił się wcale tam, gdzie pragnęła rodzina, ale przeciwnie padł na nią samą.

— Wiedziałem oddawna żeście wszystkie głupie, wrzasnął nie hamując się wcale, odstraszycie każdego waszemi fochami. Ja się tam panu Feliksowi nie dziwię, ot zmądrzał przed ślubem i kwita. Myślicie że na jego miejsce złapiecie drugiego, oho nie tak to łatwo.

Matka i córka zdumione tym niespodzianym obrotem sprawy, zwalającej na nich całą odpowiedzialność, na to co się stało, płakały pocichu, nie śmiejąc już słówka dorzucić a groźny ojciec rodziny mówił dalej:

— Ale i ta Stasia ciche to niby niuńka! ktoby się tego spodziewał.

— Ktoby się mógł tego spodziewać, powtórzyła Drobińska nabierając otuchy. Mam nadzieję że na to nie pozwolisz, że wydalisz ją z domu, że....

Zamiast odpowiedzi pan Kalasanty wzruszył pogardliwie ramionami.

— Ta ta ta i co jeszcze? Jakto ci się nagle język rozpuścił, albo wy wiecie sami co gadacie.

— Przecież nie pozwolisz....

— Już ja lepiej wiem co mogę pozwolić a co nie, odparł surowo. Spodziewam się żeście o tych głupstwach Stasi nie mówiły.

— Mój ojcze, przerwała gwałtownie Eligija, ja nie mogłam znieść....

— Aha rozumiem, wybuchnęłyście jak głupie. Nauczcie się raz że trzeba zawsze znieść wszystko, czego odmienić nie można.

— Ależ....

— Żadnych ale, milczeć kiedy ja mówię. Czy jak zrobisz scenę Stasi albo doktorowi, odstanie się to co się stało?

Pytanie było tak wyraźne, że Drobińska wcale nie biegła dyplomatka uczuła się w obowiązku odpowiedzieć:

— Właściwie nie stało się jeszcze nic, tylko uważaliśmy że....

— Jakto! nie stało się nic, Feliks nic nie powiedział wyraźnie?

— Nie powiedział w prawdzie, przecież widziałyśmy wszystkie....

— A wy już robicie krzyki i zawracacie mi głowę jakby było czem. To oszalić przyjdzie.

— Nie stało się jeszcze, ale stać może, wtrąciła drżącym głosem pani Pelagija, chodzi tu właśnie o to, żeby złemu zapobiedz.

Miała za sobą niezaprzeczone pozory słuszności, jednak Drobiński zawołał ze złością:

— Dajcież mi raz pokój u licha, mam ja ważniejsze sprawy na karku niż wasze babskie ambarasy. Ot pan Salezy umiera.

Wiadomość ta której rodzina dobrze rozumiała całą ważność, zmieniła odrazu tok rozpraw. Z resztą Eligija wypłakała się, matka jej wypowiedziała co miała na sercu, to obydwom sprawiło ulgę. Uspokoiły się jak dzieci samym wybuchem gniewu, a może w głębi ducha uznały, że przesadziły doniosłość faktów, i zbyt arbitralne wyciągnęły z nich następstwa.

Pan Kalasanty chodził zafrasowany po pokoju, i zaiste było czemś się niepokoić: Stryj jego umierał a przy nim byli tylko Schmucowie. Wiadomość tę odebrał od jednego ze sług starego bogacza, których od siebie opłacał w tym celu. Cóż teraz należało uczynić?

Albo Salezy zostawiał testament na korzyść pasożytów, co go wyzyskiwali za życia, albo też ostatnia wola jego, mogła uledz zniszczeniu lub zfałszowaniu. W razie śmierci beztestamentowej, Drobiń-

ski obrachował szybko, że majątek jego spadał po równych częściach na niego i Stasię, a w takim wypadku, należało zawczasu ująć sobie sierotę i zdobyć zaufanie, by przy podziale, skwitować ją byle czem, jak to niegdyś uczynił z jej matką.

Dobra polityka więc nakazywała teraz właśnie jak najostrożniej z nią postępować. A tu jak na złość kobiety wybrały się ze scenami. Niechby sobie Stasia zbałamuciła stu panów Feliksów, byle zarząd przyszłego majątku oddała w ręce jego byłby na to chętnie pozwolił.

W skutek tych rozmyślań pan Kalasanty zatrzymał się nagle, w swoim spacerze, po gładkiej posadzce salonu.

— Elciu, zawołał, zwracając się do starszej córki: założę się żeś w żalu jakie głupstwo powiedziała kuzynce; ruszajcie mi zaraz z matką ją przeprosić.

Nie spodziewały się podobnego rozkazu. Pani Pelagija nie kwestyonowała jednak wcale woli męża, i gotowała się spełnić ją z pokorą, ale Eligija zatrzymała się w progu z rozgorzałą twarzą.

— Ojcze, szepnęła błagalnie, ja tego nie mogę uczynić.

— Musisz, ofuknął ją Drobiński, Stasia nie powinna być tutaj obrażoną i to jeszcze dzisiaj jak na złość!

Spojrzał na nią tak groźnie, że biedna dziewczyna zachwiała się na nogach jednakże pozostała na progu.

— Cóż to! bunt? wrzasnął gospodarz domu przywiedziony do wściekłości biernym oporem córki, i szkodą jaką z tego powodu mógł ponieść.

— Nie pójdę, wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

Drobiński roześmiał się sucho, w sposób sobie właściwy, znamionujący najwyższy paroksyzm gniewu.

— Nie pójdziesz, szepnął nachylając się nad nią, i ściskając ją za ramię tak silnie, że o mało nie krzyknęła z bólu. Dobrze więc natychmiast napiszę do pana Feliksa, by nie pokazywał się więcej w naszym domu.

— Mój ojcze, tybyś mnie zabił, zawołała, nie uczynisz tego.

— Idź natychmiast, przeprosić kuzynkę, rozumiesz, tu chodzi o ważniejsze sprawy niż wasze zazdrości, przejednaj ją lub....

Wiedział dobrze z kim miał do czynienia; Eligija poddała się konieczności.

— Uczynię jak każesz, wyrzekła spuszczając głowę.

Drobiński pozostawszy sam w salonie, ciągnął dalej swoją wędrówkę i namysły, dawno już światła pogasły w domu, a on snuł się pomiędzy ścianami salonu, tak zaabsorbowany rachunkami, planami, niepokojem tej ważnej chwili, że zapomniał upływających godzin.

W Drobinie panował nieład i zamieszanie, jak zwykle tam, gdzie umierającego otaczają, nie ci coby chcieli przedłużyć mu życie, ale jak najprędzej podzielić się mieniem. Sygfryd, Szmucowa i znany nam doktór Luś któren tutaj zwał się panem Lepińskim, snuli się po domu mieniając się w pokoju starca, w którym odzywały się od czasu do czasu jęki i skargi.

Korzystając z chwilowego uśpienia chorego, baronowa wysunęła się z jego pokoju, gdzie teraz właśnie znajdowała się na straży. W salonie który oddzielał go od jadalni, nie było nikogo, tam dopiero z za drzwi zamkniętych, doleciały ją zmieszane głosy i brzęk kieliszków. Więc oglądając się za siebie niespokojnie, poszła połączyć się z resztą towarzystwa.

Doktór i Sygfryd siedzieli przy stole, zastawionym w największym nieładzie rozmaitemi zbytkowemi potrawami, których sobie nikt nie żałował w domu starego bogacza. Lokaj Marcin pijany chrapał w przedpokoju, reszta służby snadź rozbiegła się, nie czując nad sobą pańskiego oka, i lekceważąc przybyszów, bo spodziewała się chwili nastania ich rządów. A zresztą każdy korzystał zapewnie z momentu, i myślał coby zeń można wyzyskać. Doktór więc z młodym baronem, byli zmuszeni sami sobie usłużyć.

Luś pił i zajadał z apetytem, nie umniejszonym wcale smutnym widokiem cierpień i śmierci. Oswojony z niemi, przyjmował je z filozoficznem lekceważeniem, cechującem pewne samolubne natury. Wiedząc doskonale, iż chwile starego bogacza były policzone, korzystał z podwojoną chciwością z jego kuchni i piwnicy, chcąc nabrać sił do całonocnego czuwania jakie go zapewne czekało.

— Co tam baronku, mówił z rodzajem poufałości jaką nabierają częstokroć ludzie, czujący się koniecznie potrzebni, staremu się nie wiele należy: napij się jeszcze kieliszek tego Chambertain'a, bo dalibóg nie prędko spotkamy się z podobnym.

Sygfryd podparty na ręku zły i zamyślony, nie okazywał wcale chęci uczestniczenia w żartach doktora, kiedy we drzwiach ukazała się baronowa.

Była ona wystrojona jak zawsze, i nie straciła ani na minutę kokieteryjnego uśmiechu, którym darzyła każdego bez wyjątku, a który teraz szczególnie zwracał się do młodego doktora.

Pomimo to jednak zmęczenie kilku bezsennych nocy, widoczne było na jej twarzy, nawet przez podwojoną warstwę blanszu i różu bo ten starty gdzie niegdzie, i z pośpiechu źle położony, nadawał komiczną cechę jej lalkowatej postaci.

Baronowa w oczach przynajmniej umierającego, usiłowała nadać sobie cechę smutku, ubrana więc była w ciemną suknię, bo czarną przerazić go nie chciała. Nie mogła jednak wytrzymać, by nie upstrzyć tego stroju, różnemi świecidłami i kolorowemi płatkami które sądziła być koniecznem dopełnieniem toalety.

Wchodząc usłyszała ostatnie słowa doktora i dla tego zbliżyła się ku niemu.

— Czyż doprawdy! zawołała, nie ma już żadnej nadziei?

— Baronowo najdroższa! odparł Luś przysuwając jej krzesła z żartobliwą galanteryą, z wolą przeznaczenia zgodzić się trzeba, wszystkie moje leki nie dadzą już choremu, dwudziestu czterech godzin życia.

— Dwudziestu czterech godzin, powtórzyła załamując ręce.

— Szczęśliwy, ciągnął dalej doktór, któremu Chambertain dodawał jeszcze sztucznej wesołości, być płakanym przez tak piękne oczy, pielęgnowanym przez ciebie baronowo, wiedzieć że twoje alabastrowe paluszki zamkną mu oczy, nie jestże to los godzien zazdrości.

Słysząc te słowa Schmucowa, która już gotową była się rozpłakać nad rychłą śmiercią swego starego wielbiciela, poczęła się uśmiechać nieznacznie, zabierała się zająć miejsce tak grzecznie ofiarowane, gdy Sygfryd odezwał się surowo:

— A cóż pan Salezy?

Baronowa nie mogła znieść ani samotności, ani widoku choroby i śmierci, nie dla tego by miała zbyt czułe serce, ale przerażało ją to, i przywodziło na myśl własny nieunikniony koniec, które to przypomnienie oddalała od siebie całemi siłami.

— Tam tak straszno, szepnęła, stary śpi i jęczy przez sen.

— Trudno, mruknął doktór, nie chciałbym być w jego skórze, musi cierpieć dyabelnie.

I powiedziawszy to, z najzimniejszą krwią ukroił sobie kawałek pasztetu z truflami.

— Niechże mama tam idzie, odezwał się Sygfryd niecierpliwie.

— Ale kiedy śpi, tłomaczyła się Schmucowa, której towarzystwo doktora zdawało się o wiele przyjemniejsze, od zaduszonego pokoju konającego wielbiciela.

— Masz słuszność o najpiękniejsza z baronowych, wyrzekł znowu Luś nalewając sobie nowy kieliszek wina: zostaw umierających w pokoju a zwróć się raczej do żywych. Może przysunąć pani pasztetu, kurczęcia, pulardy a może troszeczkę wina.

Doktór gospodarował i czynił jak mógł honory zastawionego stołu, do którego Baronowa okazywała coraz większą skłonność, gdy Sygfryd powstał gwałtownie odsuwając krzesło z hałasem, zdradzającym nerwowe rozdrażnienie.

— O czemże mama myśli! zawołał, przystępując do niej, i ściskając jej ręce: ostatnia chwila się zbliża trzeba korzystać z czasu, trzeba wymódz testament, zapis — trzeba koniecznie.

Baronowa spuściła oczy jak dziecko zgromione.

— Zapewne, potwierdził Luś, trzeba korzystać z czasu, jutro już będzie zapóźno.

— Bo żebyś ty tam poszedł Sygfrydzie, szepnęła kobieta.

Syn wzruszył ramionami.

— Siedziałbym tam pewno dzień i noc gdybym co mógł poradzić, wyrzekł przez zaciśnięte zęby.

Doktór roześmiał się cynicznie.

— Baronowo! zawołał tłumacząc nie wyraźną myśl Sygfryda, on ma słuszność. Otrzymać miejsce w testamencie starego kawalera, to rzecz pięknych pań nie nasza, wy umiecie z niemi zrobić co tylko chcecie.

Schmucowa brała to wszystko za dobrą monetę, Sygfryd blady z brwią zmarszczoną, chodził po pokoju, udając że nie słyszy dowcipów Lusia, i wyglądał na kogoś co oblicza upokorzenia i przykrości oknem, z silną wolą powetowania ich w przyszłości!

— Ależ na Boga, zawołał znowu baron, czyż mama nie rozumie położenia, tu chodzi o wszystko trzeba raz się zdecydować, trzeba stawić na kartę, wymódz to czego się nie dostało dobrowolnie.

(d. c. n.)

W ostatni dzień roku.

Witany serdecznie, z radością i z wiarą,
W cudowne nadzieje odziany,
Nie wszystkich jednaką napoiłeś czarą,
Przez wszystkich jednako witany.

Dla jednych, ty miałeś obficie nektarów,
Haustami je pili całemi,
Dałeś im kosztować i z miłości czarów,
I z wszystkich rozkoszy na ziemi.

Dla drugich, zaledwie na usta spieczone
Po jednej sączyłeś kropelce,
Choć drogą ciernistą ciało ich zmęczone,
Tej kropli pragnęło tak wielce.

Dostali choć kroplę.... lecz byli i tacy,
Co nawet tej jednej nie mieli,
Więc legli w pół drogi, do dalszej już pracy
Sił zbrakło, choć życia tak chcieli.

A jednak ci nawet co w walce skonali,
Szczęśliwsi niż wszyscy ci biedni,
Co braci pod ziemię głęboko schowali —
A sami zostali tu jedni.

A jeszcze — a jeszcze — są tacy na świecie,
Co w piersi ich legła mogiła,
Grób w piersiach, grób w sercu, a jednak czy wiecie,
Że żyją — a w bólu ich siła.

Ewelina.

WSPOMNIENIE Z ARMENII

Alberta Eynaud

wolny przekład z francuskiego

PRZEZ

Teresę Jadwigę.

(Dokończenie).

Pani Morton spała już od godziny, twardym spokojnym snem, gdy Łucya weszła do pokoju. Rozdrażniona słowami Stowarta najmniejszej nie miała ochoty myśleć o spoczynku, usiadła przeto przed kominkiem na którym dopalał się ogień i rozmyślać poczęła.

— Dla czego Stowart wyraził się z taką pogardą o nim, mówiła sama do siebie, marszcząc gniewnie gładkie i pogodne zwykle czoło. To niewdzięczność, wszakże on uratował wszystkim nam życie.

W tej chwili szlachetna postać Agi w jego stroju malowniczym, przesunęła się przed jej oczami, uśmiechnęła się do tego widziadła.

— Piękny, szepnęła a zarazem dobry i odważny. Chociaż Łucya chciała wmówić w siebie iż Stowart jest winnym, bardzo winnym, mimo woli i z siebie czuła się niezadowoloną, a im dłużej rozmyślała tym coraz większy ogarniał nią niepokój. W tem drzwi skrzypnęły i w progu ich ukazała się Fradyjka córka siostry Selima. Widząc Łucyę siedzącą z twarzą ukrytą w dłoniach przed kominkiem, wsunąwszy się cichutko do pokoju aby ją z marzeń lub ze snu nie zbudzić, usiadła tuż obok i głowę oparła o jej kolana. Teraz dopiero spostrzegła Łucya jej obecność.

Siostrzenica Agi, szczególnem była dziewczęciem; lubo bardzo jeszcze młodziutka, unikała jednakże wesołego towarzystwa swych rówienniczek, i najczęściej spotkać ją było można, siedzącą w głębokiej zadumie, wśród skał w miejscach najbardziej samotnych. O czem myślała trudno to było odgadnąć, a nie lubiła gdy o to pytano.

Łucya położyła rękę na głowie Fradyjki i gładząc jej miękkie włosy rzekła:

— Mała pieszczotko jakże ci wdzięczną jestem za odwiedziny. Twój buziaczek tak ładny, tak miły....

— O! pani, ładniejszą jesteś ode mnie, przerwało dziewczę. Wpatrywałam się w ciebie długo, bardzo długo, i nie dziwię się wcale....

— Czemu się nie dziwisz ty wolny ptaszku bezbrzeżnej pustyni?

Dziewczę westchnęło smutnie i potem cichym szeptem odrzekło:

— Nie dziwię się wcale, że nawet wuj Selim uznał cię łagodniejszą ode mnie.

— Wuj Selim? z zadziwieniem a nawet z pewną trwogą powtórzyła Łucya, czyż ci to powiedział?

— Oczy często są wymowniejsze jak usta a jego spojrzenie zawsze przy tobie. Od chwili jak jesteś pani u nas... zapomniał o mnie zupełnie, promienie ócz jego nie odbiły się ani razu w moich, pobladły też posmutniały....

— Zdaje ci się moja Fradyjko, czyżbyś go kochała?

— Czy go kocham? zawołała młoda dziewica zrywając się z siedzenia z gwałtownem uniesieniem mówiła dalej: Powiadają że świat wielki, są w nim góry złota obłoków sięgające, są morza pełne pereł, pustynie pełne dyamentów, za tym światem wielkości, złota i drogich kamieni, unosi się raj wiecznej szczęśliwości, ja gardzę tem wszystkiem bez Selima, i gdyby mi wszystkie darowano gwiazdy, ozdobiłabym niemi głowę jego, dla siebie żadnej nie zostawiwszy.

— A on ciebie czy kocha? zapytała Łucya przerażona gwałtownością dziewczęcia.

— Kochał, ale dziś nie wiem czy kocha jeszcze.

— Jeżeli kochał to kocha z pewnością, bo któżby mógł pogardzić taką jak twoja miłością, takim wdziękiem dziewiczej niewinności i urody jakie zdobią zgrabną twoją postać i śliczną buzię.

— Więc już na prawdę jestem tak ładną i ty mi pani nie odbierzesz Selima? zapytała Fadryjka wlepiając łzawe spojrzenie w Łucyą.

— Na prawdę jesteś prześliczną, a że nawet nie myślę o zabraniu ci twego wuja, to ci powiem że jutro odjeżdżam....

— Odjeżdżasz pani... jutro... szeptała w zamyśleniu młoda dziewczyna: a jak on zabije się?

— Cóż za przypuszczenie?

— Gdyby on zginął, mówiła dalej Fadryjka nie zważając na zrobioną przerwę, ja bym umarła z żalu i tęsknoty. Tak, tak czuję to, że umarłabym.

Tyle było bólu i pewności w tych słowach, że Łucya zadrżała.

— Dzieweczko moja kochana, odezwała się po chwili Łucya udając wesołość, bądź spokojną zupełnie. Z miłości zabijają się tylko w książkach i pieśniach poetycznych, w rzeczywistości zaś ludzie po stracie ukochanych tęsknią, cierpią i w końcu zapominają.

— Zapominają? Czyż to podobna?

— Wreszcie Selim nie jest moim kochankiem, dla czegóż więc po rozstaniu się ze mną miałby zostać samobójcą?

— Czy ci nigdy nie powiedział że cię kocha?

— Nigdy! odrzekła Łucya nieśmiało i rumieniec okrył jej twarz wzruszoną.

— Dla czegoż ci głos zadrżał? zapytała Fadryjka wpatrując się z rozpaczą w Łucyę. Gdyby ci wyznał coś podobnego, uważałby cię już za swoją....

— Ależ powiadam ci raz jeszcze, że mi nigdy słowa kocham nie wymówił.

— Ach! jakżem szczęśliwa, spuszczając ręce i jakby po zruceniu wielkiego ciężaru odrzekła z westchnieniem Fadryjka. Kiedy tak, to jedź pani jedź...

— Pojadę, jak powiedziałam.

— I Selim zapomni cię?

— Zapomni za dobę po moim wyjeździe.

Po wyjściu dziewczęcia, Łucya zaczęła się z niespokojnością przechadzać po pokoju, zamyślała się, pocierała czoła, wreszcie wyszeptała:

— Jakże byłam nierozważną!

IV.

Nazajutrz Łucya znudzona bezsennie spędzoną nocą, zaraz rano posłała po Stowarta.

— Co ci jest Łucyo? zapytał, z podziwem wchodząc do pokoju. Czyś chora?

Łucya podała mu rękę.

— Za dobrym jesteś dla mnie Gordonie, szepnęła wzruszonym głosem.

Stowart przycisnął jej rękę do ust.

— Przerażasz mnie, nie rozumiem cię zupełnie.

Łucya silniej uścisnęła jego dłoń.

— Przebacz mi, mówiła dalej z niezwykłą sobie powagą. Mam nieznośną naturę, lubię drugich drażnić; od dziś dnia jednakże pragnę poprawić się z tej wady, a na dowód iż szczerze żałuję.... swoich lekkomyślnych psot, powiem ci, iż gotowa jestem do drogi, i możemy jechać chociażby zaraz.

— Dzięki niebu! zawołał Stowart i po raz drugi ucałował maleńkie rączki kuzynki.

Dwa dni podróży dzieliło Erzerum od Abdurrahmanli, lecz ponieważ konie odpoczęły dobrze, Stowart przeto miał nadzieję iż w przeciągu jednej doby odbędą tę drogę. Oświadczył tylko iż trzeba nazajutrz jeszcze przed wschodem słońca wyjechać, Łucya chętnie zgodziła się na to, nigdy jeszcze Stowart nie widział ją tak pokorną i uległą.

Rozmówiwszy się z pułkownikiem, panna Blandemer udała się następnie z nim i panią Morton do Selima aby go uprzedzić o swoim odjeździe i podziękować za otrzymaną gościnność.

Aga nie był sam, siostra jego znajdowała się przy nim, powitawszy oboje, Łucya przedstawiła zaraz powód swych odwiedzin.

— Mój kuzyn zmuszony jest przyspieszyć powrót do Europy, rzekła tłomacząc to nagłe postanowienie odjazdu, wybaczycie przeto Ago iż was jutro pożegnamy.

Selim drgnął, spojrzał zdumiony na Łucyą ale natychmiast się uspokoił, i czy ten niespodziany wyjazd zasmucił go tylko czy zabolał, trudno było odgadnąć.

Łucya mówiąc nie spojrzała na niego ani razu, a on nie powiedział nic takiego coby jakieś wnioski zrobić z tego można było. Cała scena odbyła się jak najzwyczajniej, na pozór nawet zimno i obojętnie.

— Stanie się jak pani sobie tego życzy, rzekł wreszcie po chwili. Wydam rozkazy, aby wszystko było na jutro gotowem. Reszta dnia upłynęła smutnie. Selim Aga nie pokazał się do samego wieczora w domu, Fradyjka miała ciągle łzy w oczach, na chwilę nie odstępowała Łucyi, która siliła się tylko na spokój, lecz serce miała pełne dręczących niepokoi, żalu i smutku. Za to Stowart uśmiechał się z całą swobodą zadowolenia.

Po nocy spędzonej bezsennie, Łucya obudziwszy panią Morton, już o czwartej rano poczęła czynić ostateczne przygotowania do drogi.

Niebawem głos Stowarta, rozległ się pod ich oknami.

— Czy jesteście już panie gotowe, pytał niespokojnie, czekam na was.

Łucya i pani Morton pospieszyły ku niemu, lecz zaledwie wyszły na podwórze, szczególny ich oczom przedstawił się widok. Cała wioska niemal była w poruszeniu, przed domem Agi snuły się tłumy ludzi, a niespokojne i groźne ich twarze nic dobrego nie wróżyły.

— Co się tutaj stało? zapytała Łucya, zbliżając się żywo do Stowarta.

— Aga zniknął, odparł tenże obojętnie, Kurdeńczycy szukają go już od godziny, lecz nigdzie znaleść nie mogą.

Ciemno zrobiło się w oczach Łucyi, zdawało się jej iż jak owej fatalnej nocy opuszcza ją przytomność, jednakże zapanowała nad sobą, zbliżyła się do sług Selima i poczęła dopytywać, dla czego są tak niespokojni.

— Aga zniknął, odpowiedział jeden ze sług. Gdy przyszedłem dziś rano aby powiedzieć iż obcy goście odjeżdżają, nie zastałem go już w mieszkaniu: jego koń zniknął z nim razem. Nieraz wprawdzie Aga

odjeżdżał nas niespodzianie, lecz nigdy jeszcze w ten sposób co dzisiaj, siostrę zawsze uprzedził i nigdy sam nie opuszczał domu.

Lubo Stowart był uprzedzony do Agi, nie chciał jednakże opuścić Abdurrahmanli, nie dowiedziawszy się pierwej coś pewniejszego o jego losie. Kilku z pokolenia Selima dosiadłszy koni, popędziło za śladem, jak chciała jego siostra, której rozkazów słuchano teraz jak samego Agi.

Oddaliwszy-się do swego pokoju, Łucya usiadła w otwartem oknie i głowę wsparłszy na ręku patrzała się na migających ludzi po podwórzu.

— Gdzie Fadryjka? myślała sobie. Co się z nią dzieje w tym ogólnym popłochu?

Oderwane słowa, rozmowy dolatywały ją od czasu do czasu, nie wiele wszakże mogła z nich zrozumieć, zdawało się jej przecież iż ludzie ci, obcym przybyszom zarzucają nieszczęście jakie ich spotkało, a tajemniczy głos jej serca szeptał, iż nie omylili się w swych domniemywaniach, że ona była winną wszystkiemu.

Tłum wzmagał się, rósł w coraz większą liczbę, na podwórzu było coraz ludniej i coraz gwarniej. Jak morze, kiedy burza nadchodzi, wspina się w bałwany, burzy się i huczy, tak podwórze Agi zbierało się w coraz liczniejsze tłumy. Tu i owdzie tworzyły się gromady, głuchy hałas który z nich dochodził przypominał szum wzburzonych bałwanów. Zdawało się Łucyi chwilami iż widzi groźne ku sobie zwrócone spojrzenia, że wzrokiem ją sobie wzajemnie wskazują a bujna jej wyobraźnia wyprzedzając wypadki, widziała już podnoszące się w górę dłonie uzbrojone w błyszczące kindżały, słyszała wściekłe okrzyki wzburzonych tłumów z groźbą ku niej zwrócone.

Minął ranek, minęło południe, słońce pochyliło się ku zachodowi, o Selimie żadnych wieści nie było. Tymczasem tłumy rozeszły się zwolna milczące i smutne, podwórze Agi opustoszało, cienie nocy rozpostarły się do koła, wszyscy udali się na spoczynek.

Łucya nie ruszyła się przecież z miejsca, z otwartemi wciąż oczami szukała ranka, czekała wieści o Selimie, a u jej nóg siedziała Fradyjka, zapytująca ciągle jakby w obłąkaniu:

— Czy zapomni, czy przeboleje rozpacz i cierpienie?

Trudno było dłużej czekać podróżnym. Stowart wydał rozkazy do odjazdu, Łucya obojętna na wszystko nie opierała się: puszczono się zatem w drogę, uprosiwszy siostrę Selima, aby jak tylko otrzyma jakąkolwiek wiadomość o swym bracie zawiadomiła ich o tem natychmiast.

Po dwóch dniach, niezakłóconej żadnym wypadkiem podróży, karawana ujrzała wreszcie przed sobą rozległą dolinę. Wysokie o dziwacznych kształtach skały, otaczały ją w okół, tu i owdzie snuły się szare słupy ulatającego z chat wieśniaczych w ciemnych kłębach dymu, a w oddali rysowały się niewyraźne mury miasta Erzerum. Lekka mgła unosząca się w dolinie, z po za której otoczony śniegami i lodami przeglądał Erzerum, nadawała temu miastu coś fantastycznego. Patrząc na nie, zdawało się podróżnym, iż widzą zawieszone między niebem a ziemią siedlisko duchów.

Erzerum była to już prawie Europa; im bardziej karawana zbliżała się ku niemu, tym większy smutek ogarniał sercem Łucyi.

Wyjeżdżając łudziła się, iż siostra Selima, wyśle wkrótce za nimi gońca z pomyślną wieścią iż Aga powrócił, tymczasem minął tydzień i drugi się rozpoczął a wiadomości jak nie było tak nie było.

— Co to jest, pytała z wielką niespokojnością Łucya. Czyżby Fradyjka prawdę mówiła? Ach! jakże ci ludzie wschodu straszni są nawet w miłości.

Odpocząwszy nieco w Erzerum, ruszono dalej do Trebizondy, ztamtąd do Konstantynopola, gdzie nastąpiło rozstanie z Tigranesem. W kilka tygodni potem, podróżni przybyli do Londynu, nie wiedząc nic więcej o losie Agi, jak wiedzieli o nim gdy wioskę jego opuszczali.

* * *

Rok upłynął od powyżej opisanych wypadków. Była to godzina wieczorna, słońce chyliło się ku zachodowi, zmrok szary roztaczał zwolna swe cienie na piękną okolicę Westmorlandu. W jednem z okien wspaniałego zamku właścicieli siedziała młoda i piękna kobieta o jasnych włosach spadających w bujnych puklach na jej ramiona, o pełnych tęsknoty błękitnych oczach. Była to Łucya, dziś już pani Stowart, gdyż przed miesiącem oddała rękę pułkownikowi. Zima białym całunem przysłoniła pola, łąki i zielone trawniki parku, wody jeziora ścięły się lodem, drzewa odarte z zieleni sterczały nagie i posępne, obraz ten przypominał jej mimowoli Armenię, westchnęła cicho i głowę zwiesiła na piersi. Nagle drzwi prowadzące do przyległego pokoju skrzypnęły, odwróciła żywo głowę, przed nią stał służący ze srebrną tacą w ręku i z listem na niej leżącym. Łucya schwyciła gorączkowo podane sobie pismo, rozerwała pieczątkę, na której wypisane było literami arabskiemi nazwisko Tigranesa i czytać zaczęła.

List był z Konstantynopola następującej treści:

„Łaskawa Pani! Rozstając się ze mną poleciłaś mi, abym udzielił Jej wkrótce wiadomości o naszych znajomych z Abdurrahmanli, spóźniam się wprawdzie z zadość uczynieniem tym życzeniom, lecz nie moja wina. W Konstantynopolu nie łatwo dowiedzieć się co porabiają w Abdurrahmanli, i wczoraj dopiero otrzymawszy jakieśkolwiek wiadomości o Selimie i jego rodzinie, pośpieszam przesłać je łaskawej pani.

Selim Aga nie pokazał się już więcej w swej wiosce, ludzie którzy puścili się za nim w pogoń, straciwszy ślad za jakim aż do granicy perskiej jechali, powrócili do domu. Długo nie było żadnych o nim wieści, czyniono różne tylko domysły, i dopiero z wiosną poczęły krążyć pogłoski, iż Aga złączył się z pokoleniem Kurdów mieszkającem na granicy Khorasanu i że wybierał się z nimi na zbrojną wycieczkę przeciw Uzbekom. Nie chciano przecież w Abdurrahmanli wierzyć temu, tymczasem w czerwcu jakiś derwisz powracający z Khorasanu potwierdził tę pogłoskę i nadto dodał, iż Selim Aga wybrał się rzeczywiście przeciw Uzbekom, że zginął w walce z niemi niemal dobrowolnie, gdyż zamiast unikać śmierci szukał jej widocznie.

Co go spowodowało do porzucenia domu, rodziny, wioski i poddanych, wśród których tak był kochany, co popchnęło go do tej rozpaczy, różnie o tem mówią. Zabobonni Kurdowie utrzymują, iż ktoś rzucił nań urok oczami, nieraz zgubniej działającemi jak trucizna, jak miecz lub kula najtrafniej wymierzona. Być może, w tego rodzaju urok wierzę i Selim z pewnością stał się jego ofiarą.

Jestem niestety posłannikiem samych smutnych dzisiaj wieści, bo nietylko śmierć Agi pogrążyła w żałobie mieszkańców Abdurrahmanli, ale i śliczna jego siostrzenica, mała Fradyjka nie żyje również. Miała zawsze delikatne zdrowie, tak tajemniczy odjazd Selima doprowadził ją prawie do rozpaczy, gdyż biedaczka kochała go całą mocą serca obudzonego dopiero do życia. Tęsknota stała się dla niej powolną torturą: cierpiała, bolała, oczy z łez wyschły i umarła zanim wieść o jego śmierci doszła do Armenji. Piękny ten kwiatek zwiądł właśnie wtedy, gdy inne rozkwitać miały, gdy wiosna stopiwszy śniegi zielenią ustroiła wioskę. Szkoda jej, wielka szkoda!...“

Łucya opuściła ręce bezwładnie.

— Biedny Aga, biedna Fradyjka, szepnęła, i łza cicha, łza szczerego choć niewczesnego żalu pociekła jej po twarzy.

Przegląd literacki.

„Obrazy Poleskie“ i „Walka idei“

przez F. M. Eysymonta ozdob. rycinami A. A. Eysymonta. Kraków, nakładem księgarni A. Nowoleckiego 1875.

Utwory pana F. M. Eysymonta odznaczają się poczciwą dążnością, szlachetnym celem i zacną myślą. Wierszopisarz przejęty miłością dla wszystkiego co dobre, piękne i cnotliwe, pragnie przelać na papier w mowie wiązanej uczucia tłoczące młodą pierś jego i rozbudzić cześć dla dodatnich stron ludzkości. Pan Eysymont posiada przy tem wielką łatwość w pisaniu, rymy u niego płyną jednym pociągiem z pod pióra; forma jednak zewnętrzna i obrobienie nie odpowiadają wielkości zadania. On ukochał poezyę, odczuł ją w tajnikach swej duszy, ale mowa jego przybrana w szereg wyrazów, zdań, peryodów i określeń, przedstawia się nader blado i chorobliwie. Czytając „Obrazy Poleskie“ i „Walkę idei“ oddajemy hołd przewodniej myśli autora, nie mogąc w żaden sposób pomimo najlepszej chęci powitać w nim poety. Ażeby być poetą, potrzeba nie tylko posiadać uczucie ale nadto umieć je wygłosić, inaczej bowiem ona nie zdoła nigdy wniknąć do głębi serc czytelników, i rozbudzić w nich oddźwięk spodziewanego wrażenia.

W obrazach Poleskich widne przedewszystkiem uczucie bezmierne, przywiązania p. Eysymonta do swojej rodzinnej ziemi, szczegóły jednak i szczegółki składające się na ich całość rażą drobiazgowością, a czasami nawet trywialnością zarysów. Zajęcia i kłopoty Ziemianina, jego rozmowy z ekonomem, parobkami, chichoty panienek, jedzenia, picia, pieczenie ciastek, zbieranie orzechów laskowych, grzybów, podstępne procesa pomiędzy sąsiadami, wszystko to czyta się jako wiersz gładki, ale nazbyt poziomy, nieestetyczny, nieposiadający tego wewnętrznego ognia który z najzwyczajniejszych napozór szczegółów codziennego życia, umie wytworzyć piękne i urocze obrazki. Komu tylko są znane tamtejsze strony przyznać musi że barwa i koloryt zewnętrzny wszędzie, a szczególniej w ustępie p. t. „Syn kmiecy“ wiernie są zachowane, próżnoby jednak było wyszukać w nich choćby jednej iskierki poetyckiego natchnienia. W wierszach ulotnych jeszcze więcej ta ujemna strona czuć się daje. Owe „Nie znam Cię“ „Nie patrz na mnie“ owe wierszyki do czarnych, modrych oczek owruckich piękności, owe wzdychania do Marylek, Kryś, Gabryelek, Stenij, wyborne jako pamiątki albumowe, wspomnienia przelotnych wrażeń, fraszki okolicznościowe, nie kwalifikują się bynajmniej ani treścią, ani formą, ażeby zasługiwały na puszczenie ich w obieg księgarski. W rzeczonym zbiorze mieszczą się i poważniejsze rymy, lecz i tych obrobienie wiele, bardzo wiele, pozostawia do życzenia, a niektóre znowu jak np. „Toast patryarchalny“ lub „Do lotu!“ nie powinny były także, wcale aczkolwiek z innych względów w dziele być zamieszczonemi. Pierwszy z powodu iż zakrawa na travestacyę pisma Świętego, drugi zaś z przyczyny fałszywej

swojej tendencyi. Przedmowa do dzieła będąc niejako podziękowaniem dla recenzentów chwalących talent p. Eysymonta, a potępieniem dość nawet niegrzecznem nieuznających jego zdolności, jest co najmniej nie stosowną.

Walka Idei to ustęp z życia uniwersyteckiego. Poeta Piotr napotyka na każdym swym kroku niechęć materyalistów, lub zawiść chciwych sławy zarozumialców. Ażeby poniżyć i zgnębić rozmarzonego studenta, antagonista jego niejaki Benon Firgalski, rzuca nawet nań nikczemną potwarz, potem przeprasza uzyskawszy za wpływem matki przebaczenie; a niezrażony niczem Piotr pielęgnuje wciąż w sobie zamiłowanie do niebiańskiej muzy słuchając w chwilach wolnych od wieszczych dumań, wyjątków z „pięknej Heleny" wygłaszanych przez brata jego Augusta. Ta bezprzestanna walka idei poetycznej (?) z nizkiemi objawami prozaicznego życia, przedstawia się nam jako burza w szklance wody. Wieluż to z akademickiej młodzieży bierze się z zapałem do tworzenia lepszych i gorszych wierszy, mając silne przekonanie, że *muszą* kiedyś swoją wielką pieśń dla podziwu i uwielbienia całego świata wyśpiewać. Na szczęście jednak przychodzi wiek dojrzalszy, wiek zastanowienia, a oni pozbywszy się pierwotnej zarozumiałości porzucają niewdzięczną muzę i miasto marnować czas nad tworzeniem prozaicznych rymów, stają się praktycznymi członkami społeczeństwa. Ponieważ dramat pana Eysymonta kończy się w chwili gdy jego bohater Piotr jeszcze ław akademickich nieopuścił, jest więc nadzieja że się w dalszym toku swego życia wyleczy z chorobliwej wierszo-manji. W ogóle dramat „Walka idei" choć drobiazgowy i w założeniu i w skutkach, uważamy za daleko lepszy utwór od „Obrazów Poleskich"; znaleźć tam nawet można wcale dobre wiersze jak np.:

Bo piękno świata z pięknem Boskiej duszy,
W jedną harmonię zlewa się tęczową;
Jego światłorys: dłuto, pędzel, słowo,
Powiewne tony muzyki niebianów...
Uroku siłą potęgę zła kruszy,
Serca ukształca, zdobi w prawdę wielką:
I tu korzyścią świeci dla ziemianów.
Morzem korzyści: — światłości czcicielką!
Daremne krzyki przemądrzałych dzieci,
Złych ludzi ciała co ducha chcą zabić...
Gdyż piękno duchem, a duch pięknem świeci
Jedno mistyczne ciało nierozdzielne;
Możnaby było świątynią ograbić
Lecz duch — odwieczny!... piękno nieśmiertelne!...
[(str. 49) *)

Język jakiego p. Eysymont używa jest czysty i poprawny wszędzie, radzibyśmy tylko strzedz się prowincyonalizmów jak np. owe *Nu!* w ustach wszystkich bez wyjątku działających osób dramatu powtarzające się bezustauku, a które dla nas synów Mazowsza ma w sobie coś żydowskiego, nie harmonizującego bynajmniej z powagą jaką pragnął autor nadać swojemu dramatowi. *Oparszy* (str. 11) miasto oparłszy, uważamy za prostą pomyłkę drukarską, nie możemy jednak pomimo najlepszej chęci położyć na karb niedokładnej korekty wyrażenia *z ostrożma* które autor zrymował z wyrazem „można" (strona 36).

Do dodatnich stron dramatu zaliczymy jeszcze całą scenę pani Naprejowej z Benonem Firgalskim, jakoteż kilka bardzo zacnych tu i owdzie rozrzuconych myśli, chociaż i w nich częstokroć brak dokładnego określenia czuć się daje, jak np. na str. 68:

Ach gdyby prędzej pożegnać te kraje,
Gdyby się przenieść w ojczyste, rodzinne,
Tam wierzyć można, tam nikt nie udaje (czego?)
Tam myśli inne i uczucia inne...

Rażącem jest w „Obrazach Poleskich" to ciągłe wychylanie czar, szklanic, kielichów i t. p. te pijackie improwizacye, ta bezustanna cześć dla Bachusa — tak dalece że nawet umierający ojciec błogosławi syna z puharem w dłoni (st. 229) a i w „Walce idei" nieuchronna butelka musi się choć przy rozwiązaniu dramatu pojawić. Że ludzie dawniej tęgo pili, a i teraz nawet pomimo ciężkich prób i smutnych czasów piją także, nie ulega wątpliwości; ale ową słabą stronę należałoby przynajmniej w poezyjach pominąć milczeniem.

Co do rycin ozdabiających (?) Obrazy Poleskie, wolelibyśmy wcale o nich nie wspominać. Na samym początku uderza wzrok istota siedząca na krześle, nie mająca w sobie nic człowieczego; jest to raczej automat wypchany ze słomy, z wykrzywioną nogą i ręką jak u kościotrupa. Widok miasta Owrucza wygląda na pasztet sztrasburgski rozkrojony na dwoje, a dziewica stojąca pod drzewem jest odrażającej brzydoty.

W każdym razie nie wątpimy o przyszłości literackiej pana Eysymonta. Wydane obecnie próby dają nadzieję, iż obok łatwości władania piórem, a mianowicie z powodu zacnych i poczciwych (z małemi nader wyjątkami, tendencyi), talent młodego autora wyrobić się z czasem może, zwłaszcza jeżeli tenże zechce wytrwałością, ciągłą pracą i wczytywaniem się w dzieła mistrzów naszych, a nie przebojem, zdobyć dla siebie uznanie i sympatyę ogółu.

Ludwik Niemojowski.

*) Ustęp powyższy widocznie i sam autor uważa za najudatniejszy gdyż go w całości powtórzył w „Obrazach Poleskich" (str. 17). *(Przyp. sprawoz.).*

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.
W WARSZAWIE.

Chrzestni rodzice— F. Kostrzewskiego. Kum Bartosz całą gębą, rzec można, gospodarz, walne dziś wyprawia chrzciny! a nie lada też chrzestnych sprosił na te gody.

Pęc z bata!... Kto tam jedzie? Toczy się dryndulka i wnet zakręca drogą przed chatę. Wysiedli jaśnie państwo z bliskiego miasteczka: pan Kacper z panią Kacprową. Niechże ich!... ślicznie coś wystrojeni! boć to nie małe dziś święto! Jegomość w długiej po kostki kapocie, w kołnierzyku po uszy i krasnej chusteczce; jejmość w modrym szlafroczku i w czepku ze ślarką. Szal też czerwony, od wielkiej parady, w ręku chusteczka czysta i krochmalna.

Jejmość się sunie obok jegomości, co stąpa zwolna z właściwą powagą. Daszek u czapki trzyma się zsunięty, ręka w kieszeni a druga na lasce. Nos i oblicze kwitną dobrem zdrowiem. Jejmość uwielbia pana jegomości. Twarz jej wyraża zadowolenie. Przywykła widać pełnić jego wolę, znajdując ją nieomylną. Miłyż bo to jegomość!

Już wchodzą we wrota... Kum Bartosz gdy zoczył, zaraz poskoczył; czapkę do nogi i wiedzie w progi. Szmul rznie po skrzypcach, Jankiel tnie na basach, wszyscy całą zgrają, chrzestników witają; aż się przeląkł kogut co siedział na grzędzie, a ludzie się tłoczą pytając: co będzie? Oj, będzie, będzie, moście drodzy! pierogów i miodu huk!

Za ojcem stoi ciekawa dziewczynka, z paluszkiem w otwartej buzi. Dziwią ją owi państwo.

Pierwsze postacie, troszkę przesadne, tłomaczą jasno pomysł artysty. Nie widać tutaj ruchu ni ochoty jaka ożywia zwykle lud prostaczy. Kum Bartosz zdumniał i zaprosił gości których niezmiernie szanować trzeba! Strona śmieszna tej pychy wybornie schwycona.

Młoda Włoszka. E. Dukszyńskiej, stoi przy kamiennej cembrzynie zdrojowiska, oparta lekko na wysokiem naczyniu z wodą. Zapatrzona w przezrocza lśniącej migotnie fali, słucha cichego szmeru srebrnej strużki, i myśl majaczy zwolna rozkołysana w półsennem marzeniu. Z muru zwieszają się bluszczu gałązki... łagodny powiew trąca wiotkie liście...

Wody drżą w ciasnem z głazów łożysku a myśl krępuje nieraz chłód świata. Takie wrażenia płyną z dumań Włoszki.

Szkoda że zdrój ten wraz z wodozbiorem domyślny tylko za ramą obrazu.

Do odznaczających się wyższym talentem utworów, zaliczyć można portrety S. Buchleindera. Z kilku widzianych obecnie na Wystawie wybitniejszemi są: portret mężczyzny w kapeluszu; drugi, przedstawiający młodego górala i inny — starca w habicie. Szczególnie ten ostatni, choć nie zadziwia rzutami śmiałych i świetnych zarysów, przez które patrzy silny objaw ducha, streszcza się w umiejętnie oddanym skupieniu myśli, co pracą długich prób wytrawiona, spoczęła po utarczkach w cichej cierpliwości. Duch tego człeka nie rwał się z wichrami, szybując orlim ku niebu lotem... Nie, on trwał tylko pod przemocą losów, aż pękła nić wiążąca go z doczesnym światem. W oczach pełnych dobroci i ściągniętych ustach pozostał wyraz bólu, trosk i przebaczenia. Zadanie tutaj jest tem trudniejsze że układ wcale nie wspomaga sztuki.

Twarz wprost ujętą, na tle dość ciemnem, przecięły zmarszczki i głębokie brózdy, szyja schudzona wystaje z kaptura. Wiek srebrzy włosy, chylą się skronie... Prawdziwy wzór ascety.

Oh!... mówi na to, w spiętej rzemiennym pasem kapocie, na obrazie pana T. Maleszewskiego, Jowialski:

Troski, kłopot... co mi tam!
Gdy w szklaneczce miodek mam!

Proszę no spojrzeć co to za płynek! Jak szczere złotko! umm!... aż idzie ślinka! Spróbuj asceć! słodziuchny, przejrzysty i wonny. W ręce! Niech licho porwie złe losy! Wypijmy!... Oczka patrzą filuternie, usta cmoknęły, lśniące i wilgotne; lica jaśnieją dusznym spokojem. No... w ręce!... ale własne. W biesiadnej ustroni stoi tylko beczułka, a w niej... rozkosz życia. Do siebie zatem! In vino veritas, a w miodku słodkie trosk zapomnienie.

Pomysł tryska dowcipem i prawdą wyrazu.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Mieszek z przyrządem ligroinowym.

Dla osób lubiących się zajmować rozpalaniem ognia na kominku lub piecu, wygodnym jest bardzo wynalazek mieszka automatycznego. Elegancki ten mieszek ma ku końcowi swej drewnianej i skórzanej części jakby rodzaj barki metalowej która ma znowu z boku maleńki otwór hermetycznie kapsulką zamknięty, mieszczący przyrząd z ligroiną, to jest niewielką gąbkę nasycającą się od czasu do czasu tym płynem. Chcąc rozniecić ogień na ułożonem drzewie lub węglach, odsuwa się zasuwkę za pomocą rączki u wierzchu bańki będącej, i przykłada zapaloną

zapałkę do otworu mieszka, wtedy przyrząd porusza-ny zwykłym mieszków sposobem, tryska ogień daleko i silnie, i bez żadnego zbytecznego schylania i zabrudzenia rozpala się w jednej chwili ogień na kominku, w piecu lub w samowarze.

Mieszek ligroinowy może też być użyty jak zwyczajny do rozdmuchania żaru, jeżeli tylko zasuniemy przyrząd ogniowy.

Magazyn pana Schrödera posiada zapas mieszków takich, które sprzedaje po cenie rs. 2 k. 50.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Kilka osób tak z prowincyi jak w Warszawie zamieszkałych, nadesłało nam ofiary pieniężne na postawienie pomnika na grobie zmarłego Augusta Jeskego. Ponieważ odebraliśmy je już po ukończeniu druku ostatniego numeru tegorocznego Przyjaciela Dzieci, nie mogliśmy więc przez niego zawiadomić że nas ofiary te doszły. Dopełniając tego za pośrednictwem Tygodnika Mód dodajemy, że starania u właściwej władzy o uzyskanie pozwolenia na zbieranie składek w celu uczczenia pomnikiem pamięci zmarłego Jeskego, już rozpoczęte zostały.

Pani *Elizie R.* Wierszyk wydrukujemy i za przysłanie jego przesyłamy podziękowanie.

Pani H. Z. Tunika zwana *Tour du monde* ma przód zupełnie gładki, prosty i równy, bardzo długi, bryty tylne są nierówno długie, jeden z nich mocno w tyle i zupełnie w oryginalny sposób podniesiony kokardą jedwabną. Charakterystyczną jej cechą są wielkie bardzo kieszenie nadzwyczaj nisko w bokach umieszczone. Kaftaniczek zwykle się robi na boku skośno zapięty. Najlepiej jednak byłoby kupić fason papierowy, bo opis dosyć dokładnego dać nie może wyobrażenia. Tuniki te są powszechnie z grubych i miękich materyałów.

Pani Julijannie J. w Niemirowie. Książka pod tytułem: *Pierwsze kroki dziecka* przez *Jeskego*, wyczerpana zupełnie, lecz zapewne wkrótce w drugiej wyjdzie edycyi. *Rys dziejów literatury polskiej Zdanowicza i Sowińskiego* z kartami chronologicznemi kosztuje rs. 8. Żądane książki wysłane zostały.

Pani Bronisławie J. w Nowogródku. Książki w dniu 6 b. m. wyszły pocztą.

Panu Ksaweremu T. w Liwieńku. Kalendarz posłany. Oprawny kosztuje 10 kop. więcej, przesyłka także 10 k. wypadła.

Pani Konstancyi B. w Konstantynowie. Naśladowanie J. Ch. przez *Tomasza à Kempis*, na papierze welinowym kosztuje rs. 1 kop. 20, na zwyczajnym kop. 60. Wydanie ozdobne w oprawie rs. 2 kop. 70. Rubli 6 przeznaczone dla biednych, wedle życzenia szanownej ofiarodawczyni rozdane zostały.

Pani K. R. w Nowogrodzie Wołyńskim. Gramatyka niemiecka Ollendorfa wraz z dopełniającemi ją ćwiczeniami kosztuje rs. 2 kop. 25.

Panu Felıksowi R. w Lipowie. Wzory do nauki rysunków pod tytułem: *Sposób nauczenia się rysunku wedle metody* pani *Cavé*, uznany jest za wyborną metodę polecaną uczącej się młodzieży przez znakomitych malarzy i przyjęty we Francyi przez Ministra Oświecenia, kosztuje kop. 22½.

Pani Maryi S. w Wodopojach. Pieniądze odebraliśmy. Okrycie wysłane.

Pani Zofji T. w Biało-Cerkwi. Takie młode osoby czepeczków do ubrania wcale nie używają. Kapelusz z niezbędnym przy grubej żałobie krepowym woalem, wysłany.

Panu D. S. M. Artykuł dla Przyjaciela nadesłany jest dobrze napisany, ale treść jego zanadto osobistości dotyczy. Gdyby obejmowała pokonywanie trudności przy samej nauce, mogłaby służyć za przykład innym. Wszystko co nam kto nadeśle przyjmujemy chętnie do obu naszych pism.

Panu Władysławowi N. w Borbolach. Adres zmieniony na paczce i książki wysłane. Przyjaciel Dzieci na rok przyszły 1876 zaprenumerowany.

Pani Zuzannie P. w Niemirowie. Monogramy wysłaliśmy, wraz ze szczegółowym rachunkiem ze stu rs. przysłanych na sprawunki i z pieniędzy pozostałych z przeszłych sprawunków. Reszta wniesiona do redakcyi i zapisana w księgę depozytową.

Pani Otolji P. w Aleksandrowsku. Pieniądze odebrane Suknia oddana do farby, dopiero za dwa tygodnie będzie gotowa.

Pani Zofji W. w Sągołowszczyznie. List z bliższemi i szczegółowemi objaśnieniami wysłaliśmy pod wskazanym adresem. Suknia ślubna jedwabna z wieńcem i welonem kosztować będzie najmniej rs. 75, oprócz przesyłki pocztowej, opakowania i komissowego, co wszystko około 7 rs. wyniesie. Na czarne materyalne suknie wiele fasonów podały w tym czasie ryciny i drzeworyty Tygodnika Mód; noszą też wiele sukien wizytowych formą „princesse“ zwaną, mniej więcej dawniejsze gabriele, z małą zmianą. Do sukien kaszmirowych najświeższe ubranie stanowią grube taśmy wełniane.

Pani L. F. w Holakach. Zaginione Numera posłane zostały. Dywanik w stylu Holbeina, wytworną stanowi robotę mianowicie jako serweta na stół przeznaczona. Wielkość żądana wymaga cieńszej kanwy lecz serweta na tem zyskać tylko może. Kanwa, potrzebne włóczki, robota czwartej części, i wszelkie koszta jak opakowanie przesyłki pocztowej i t. d., wyniosą po najściślejszem obrachowaniu od rs. 15 do 18.

Pani K. K. w Moskwie. Uwaga wyborna dla młodego panicza: do niej dodajemy radę, aby nauczył się na pamięć bajki Krasickiego p. t. „Dwa żółwie,“ a szczególnie to co jaskółka im powiedziała. Podobnych genijuszów niepojętych i niezrozumiałych wielkie teraz mnóstwo.

Pani Cecylji L. w Lutowie. List oddaliśmy pani Helenie Dąbrowskiej, i ta oświadczyła że przedstawi żądaną Nauczycielkę w miejscu wskazanem.

Zawiadomienie.

Nakładem Księgarza Maurycego Orgelbranda, wyszły następujące dziełka:

Aniołowie dobroci, ośm powiastek dla drobnych dzieci z pięcioma kolorowanemi obrazkami, cena 67½ kop.

Splotek powieści dla dzieci od pięciu do ośmiu lat życia z pięciu kolorowanemi obrazkami, cena 67½ kop.

Jak wygląda świat i co się na nim znajduje, opowiadanie geograficzne i przyrodnicze dla dzieci, według F. Gerstaeckera dla czytelników polskich opracowała Zuzanna Zajączkowska, do tego dołączony został atlasik, cena rs. 1 kop. 80, w oprawie rs. 2 kop. 10, atlasik 30 kopiejek

Biblijoteka dziecinnych teatrów amatorskich, tomików 4 obejmujących cztery komedyjki. Każda z nich sprzedaje się oddzielnie od kop: 15 do 30, nakład księgarni polskiej we Lwowie.

Elementarz na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodni, ułożył Kazimierz Promyk, cena kop. 2½ a w oprawie kop. 4.

Jachowicza Kalendarzyk dla dzieci wydany przez syna Eryka, z pośmiertnych rękopismów na rok 1876 kop. 15. Został on przygotowany przez zasłużonego tego Przyjaciela dzieci na wzór wydanych przez niego kalendarzyków w r. 1848 i 1849. Treść artykulików pełna zacności i prostoty, wierszyki serdeczne, zagadki wielce zaciekawiające.

Od Redakcyi.

W roku przyszłym 1876 tak **Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci**, pod temi samemi wychodzić będzie warunkami co i w roku ubiegającym, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej.

Ponieważ w roku bieżącym tak znacznie się zwiększyła liczba prenumeratorów, iż byliśmy w obawie możności zaspokojenia ciągle przybywających zapisów, czujemy się przeto w obowiązku podać do powszechnej wiadomości, iż nakład na oba pisma powiększyliśmy, i że nowi prenumeratorowie na zawód niedoboru żądanych egzemplarzy narażeni nie zostaną.

Oprócz artykułów i powieści pań: Orzeszkowej Elizy, Marrené Waleryi (Morzkowskiej), A. Dzieduszyckiej, Maryi Szeligi (Mireckiej), pp. J. I. Kraszewskiego, Ludwika Niemojowskiego, L. W. Szczerbowicza, Sygurda Wiśniowskiego, J. Prusinowskiego i wielu innych, mamy przyrzeczone równie współpracownictwo Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), którego powieść drukować wkrótce będziemy w Tygodniku Mód.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

***Adres* do J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Opis ryciny kolorowej.

F. 1. Ubranie balowe. Zielona jedwabna suknia z wielkim trenem ma na tylnym brycie naszyte wielkie kokardy; przód zakończony u dołu falbankami, przemarszczany jest w dwie bufy zebrane z boków pod kokardami i oddzielone poprzecznie naszyciem szerokiej frendzli z kulek lub riuszy. Dekoltowany stanik kirasowy, sznurowany z tyłu, zakończony jest podwójną grubą wypustką. Berta z jedwabnego tiulu przepięta z przodu bukietem róż; na głowie dyadem różany. Do zarzucenia służy biała beduina szalowa ozdobiona kwastami i złotem wyszyciem. Wachlarz biały ze złotem.

F. 2. Strojne ubranie wizytowe. Brązowa suknia z materyi faille, zakończona drobniutkiem plisowaniem, dopełniona jest brązową aksamitną tuniką i stanikiem, których przybranie stanowi modna szeroka jedwabna pletnia przerabiana złotem i takaż frendzla. Na staniku zarzucona czarna koronkowa chusteczka, zapięta bukiecikiem z kwiatów granatu: takież kwiaty składają ubranie głowy. Wachlarz zawieszony na złotym sznureczku z kwaścikami.

Przyjaciela Dzieci Nr 52 wyszedł z druku i zawiera:

August Adam Jeske (z drzeworytem).— Różne odmiany psów domowych (z drzeworytem).—Kopalnie soli w Wieliczce (z drzeworytem).—Jedno „ale“ (wiersz).—Wyspa Tajemnicza przez Juljusza Werne (ciąg dalszy).—Czyny nauczające. — w Dodatku: Wawerlej.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Декабря 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).



N. 1. Uczesanie w węzły. Patrz ryc. 2 i 3.



N. 2. Uczesanie w węzły. Patrz ryc. 1—3.



N. 3. Wykonanie uczesania w węzły. Patrz ryc. 1—2.

Opis do N. 52.

(Dokończenie).

N. 17—20. Stojąca trójścienna neseserka.

Oryginalna, w zupełnie nowym guście neseserka, dająca się przestawiać z miejsca na miejsce, składa się z postumentu spojonego z pręcików trzcinowych, do których przytwierdzone są ścianki tekturowe, powleczone niebieskim atlasem i ozdobione wyszywanemi szlaczkami podług ryc. 17—18. Złączenie i przytwierdzenie ścianek do czwartego środkowego pręcika wskazuje ryc. 19, podług niej trzeba rozmieścić na ściankach różne przybory niezbędne do robót.

I tak: w jednej przedziałce umieszczone są nożyczki, maszynka do zapinania rękawiczek, maleńki nożyk, jedwab nawinięty na tekturce i kieszonka na nici, w drugiej mieści się naparstek i przytwierdzona jest większa kieszonka, zmarszczona u góry na elastykę służąca do schowania małej robotki z trzeciej strony, którą załącza rycina 20 widzimy trzy szpulki z różnemi nićmi, wsuwane za kawałki elastyki umyślnie w tym celu przytwierdzone, w pośrodku zawieszona jest mała poduszeczka do igieł. Czubki pręcików zamocowane są w górze pod osadą drewnianą lub mosiężną okręconą jedwabnym sznurem z kwaśicikami. U dołu gdzie zamocowane są końce ścianek tekturowych, dane są kokardy z wstążki.

N. 21. Fajczarnia ozdobna stojąca na pataraice.



N. 4. Zakończenie do chusteczki. Koronka irlandzka.

Ozdobny poštument do stawiania krótkich fajek z morskiej pianki, pod który dodana jest ładna patarafka, wyszywana podług ryc. 22, stanowi sprzęcik odpowiedni do męzkiego pokoju.

N. 22. Patarafka.

Kolorowe sukno reps wełniany lub jedwabny, safjan i t. p. stanowić może tło do patarafki, na którem wyszywa się deseń jedwabiami, sznureczkiem, złotym sutaszem. Ciemniejszy pas sukna idący po nad szlakiem brzeżnym, wycięty jest w ząbeczki i dwa rzędy dziurek, w którym następnie daje się jasnym jedwabiem pajączki przeszyte w środku ciemnych krzyżykiem. Deseń do wyszycia łatwo przerysować podług ryc. 22.

N. 23—24. Postumencik do zegarka.

Odrobiony z lakierowanych lub złoconych pręcików trzciny, ozdabia się małą robótką złożoną na tle z plecionej słomki. Brzegi tła obrzuca się sznelką; deseń haftu kolorowemi jedwabiami na tle ze słomki przedstawia ryc. 24. Pod haft trzeba podłożyć dla sztywności tekturkę podszytą materyją, kieszonka na łańcuszek od zegarka wyłożona jest materyją podwatowaną i przepikowaną.

N. 25. Futeralik na lusterko, nożyczki, szczoteczkę i t. p.

Wielkość futeralika musi stosować się do wielkości lusterka; zwierzchnie pokrycie stanowi safjan lub materyjał wełniany pod który daje się podszewka; między wierzch i podszewkę trzeba wsunąć tekturę. Tekturka poszyta materyjałem stanowiącym pokrycie, tworzy przegródki w środku futerału, do wkładania różnych przyborów. Futeralik dający pomieścić się w kieszeni dogodny jest szczególniej w podróży.

W dzisiejszym N-rze podaliśmy kilka ozdobnych robótek stanowiących wzory do robót własnoręcznych, odpowiednich na podarunki.



N. 5. Kapotka kaszmirowa.



N. 6. Kapotka z chustki.



N. 7—16. Ubranie balowe, ślubne i wizytowe.

N. 7. Balowe ubranie z tarlatanu.

N. 8. Ubranie wieczorowe z atłasu lub materyi.

N. 9. Ubranie wizytowe z długim paletotem. Patrz r. 13 w N. 51.

N. 10. Ubranie wizytowe.

N. 11. Ślubne ubranie Suknia formą princesse.

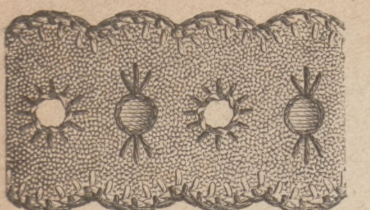
N. 12. Ubranie wizytowe z koronkową zarzutką.

N. 13. Ubranie małej dziewczynki.

N. 14. Ubranie balowe z krepowanego muślinu.

N. 15. Ubranie wizytowe z krótkim paletocikiem.

N. 16. Ubranie wizytowe. Suknia formą princesse z chusteczką.



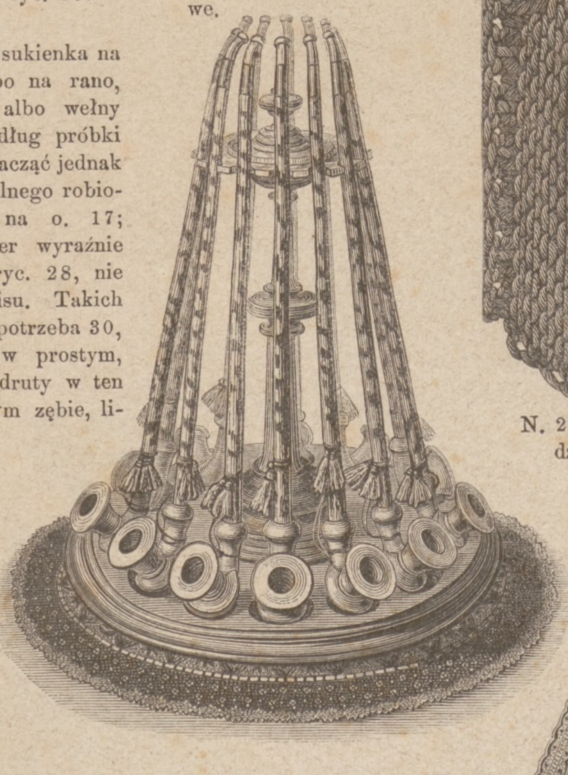
N. 17. Szlaczek do ryc. 19.

N. 26—28. Sukienka włóczkowa dla dziecka. Robota na drutach.

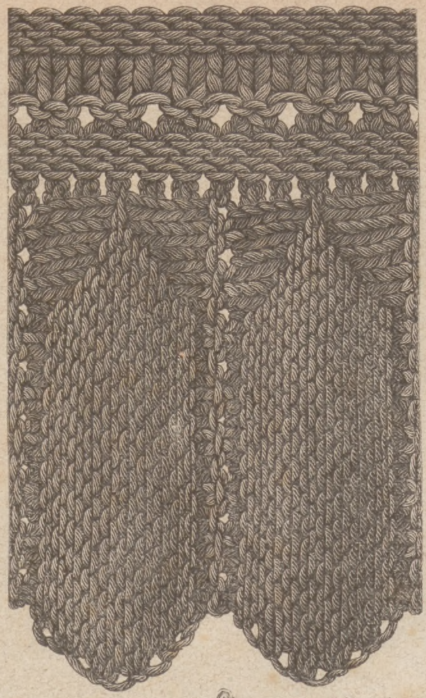
Materyjał: 140 gramów włóczki angielskiej albo pięknej krajowej, grube druty stalowe.

Ciepła i dogodna sukienka na spód, po kąpieli, albo na rano, robi się z włóczki albo wełny kolorowej, luźno podług próbki ściegu ryc. 27. Zacząć jednak trzeba od szlaku dolnego robionego poprzecznie, na o. 17; sposób roboty nader wyraźnie wskazany jest na ryc. 28, nie potrzebuje więc opisu. Takich zębów do sukienki potrzeba 30, które nabiera się w prostym, górnym brzegu na druty w ten sposób iż w każdym zębie, licząc od jednego do drugiego rzędu rozdzielających je dziurek, chwyta się tylko 6 o., zawsze za zwierzchnią połowę. Najdogodniej jest i dalej robić sukienkę niespojoną tam i na powrót, przybierając w pierwszym z 3 krętych rzędów 1 oczko co 18 oczek, ażeby sukienka u dołu liczyła o. 190. Po wykończeniu szlaczku nad zębami, powtórzonego 2 razy, zaczyna się tło podług próbki ryc. 27; 68 razy obrabia się równo, a w 69 zwęża szerokość spódniczki do połowy, robiąc ciągle po 2 o. razem, gładko. Zwężenie to stanowi początek wcięcia w stanie, odznaczonego paskiem, na który daje się dwa rzędy kręte, 2 gł. rzęd dziurek jak w szlaku, 2 rzędy gładkie 2 kręte.

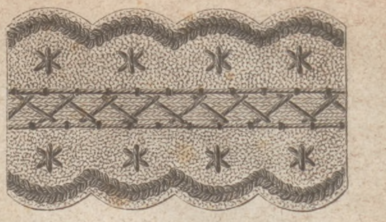
Po pasku następuje stanik z odznaczonym w środku napierśnikiem, stopniowo w górę rozszerzonym przez przybranie o. Napierśnik składa się z prążek krętych i gładkich, odgraniczonych od stanika o. gładkiem i 2-ma krętemi, podłużny pasek stanowiącemi. Napierśnik zaczyna się dwoma krętemi oczkami, przybiera dwa razy co dwa obrobienia a dalej co cztery, na początku i końcu po 1 oku zarzucając nitkę na drut od spodu; dalej stanik robi się tym co spódnica deseniem, bez gubienia ani przybierania. Po odrobieniu 12 rzędów deseniu robi się oddzielnie przód a oddzielnie każdą część pleców, ażeby otrzymać otwory na pachę. Plecy liczące po o. 26, obrabia się 28 razy i zakończa zostawiając tylko po 8 o. na ramiączka obrobione 12 razy. Przód wykończa się oddzielnie tak, ażeby napierśnik liczył rzędów podwójnych 16, potem spaja się z lewej strony na ramiączkach, nabiera oczka w tychże i plecach na druty i dodaje w koło szlaczek z dziurkami do nawleczenia wstążeczki, którą przewłóczy się i w pasie. Rękawki zaczynają się od dołu szlaczkiem robionym poprzecznie, na o. 7 który w zmiejszeniu przedstawia deseń szlakowi dolnemu odpowiedni, złożony z 8 zębów, każdy z 12 obrobień. W prosty górny brzeg nabiera się 36 oczek, daje pojedynczy szlaczek odpowiedni spódnicy. Tło obrabia się 8 razy równo a następnie przybiera się stopniowo po 8 o. z każdego brzega. Obrobiwszy 56 razy zarabia się o. z brzegów, zostawiając 30 środkowych, które obrabia się 6 razy zmniejszając do 10 oczek. Spojenie spódniczki i rękawów i wszycie tych ostatnich nie potrzebuje opisu.



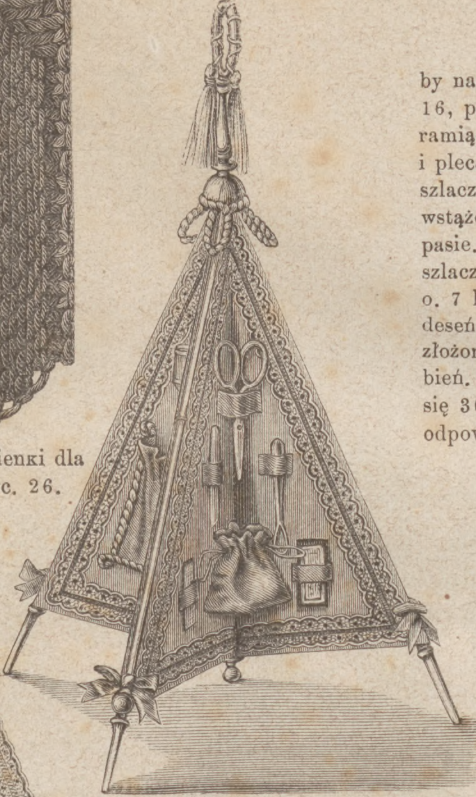
N. 21. Fajczarnia ozdobna stojąca na patarafce. Patrz ryc. 22.



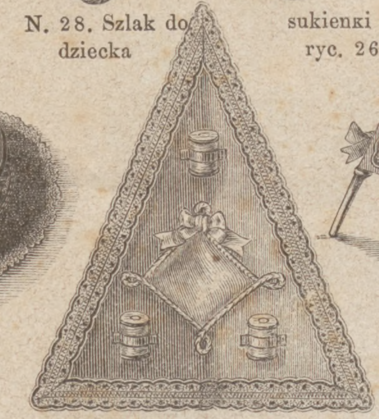
N. 28. Szlak do sukienki dla dziecka ryc. 26.



N. 18. Szlaczek do ryc. 19.



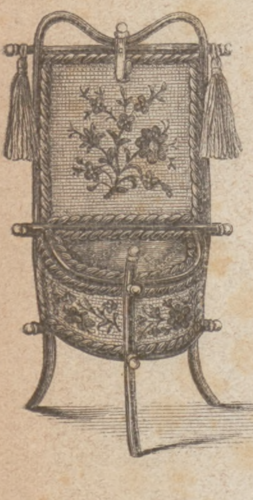
N. 19. Neseserka stojąca. Patrz ryc. 17—20



N. 20. Boczna ścianka neseserki ryc. 19.



N. 22. Haft na patarafkę.



N. 23. Postumencik do zegarka. Patrz ryc. 24.



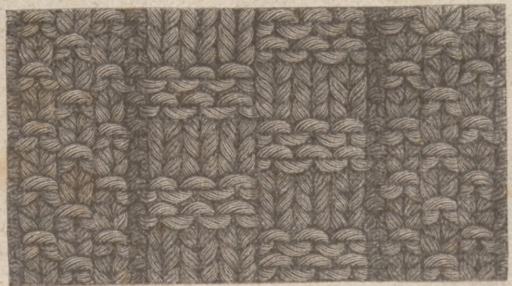
N. 25. Futeralik kieszonkowy na lusterko, grzebyk, nożyczki i t. p.



N. 24. Szlaczek wyszyty na plecionej słomce do ryc. 23.



N. 26. Sukienka włóczkowa dla dzieci. Robota na drutach. Patrz ryc. 27—28.



N. 27. Tło robione na drutach do ryc. 26.

Przepisy kuchenne.

Strucle.

Zarabia się 4 funty przedniej mąki pszennej z 3 kwaterkami mléka, 4 kubkami gęstych drożdży i 8 jajami, na płynne ciasto; potem przydaje się funt i lutów 12 sklarowanego i zupełnie wystudzonego masła, tłuczony kwiat muszkatołowy, trochę soli, i 12 lutów tłuczonego cukru, a gdy się wszystko dobrze przerobi, dołożyć jeszcze ćwierć funta dużych i pół funta małych rodzenków, ćwierć funta wyłuszczonych i podłużnie pokrajanych migdałów, oraz trochę drobno szatkowanej cykaty. Gdy ciasto dobrze podejdzie w ciepłem miejscu, przerabia się, formuje się z niego jedna lub dwie bułki, te środkiem i wzdłuż uciskają się wałkiem, zakłada się jedna połowa na drugą, i tak zrobione strucle, kładą się do niecki, aby podrosły. Przed wsadzeniem i po wyjęciu z pieca, smarują się masłem rozpuszczonem, a wreszcie posypują cukrem, kto lubi i cynamonem.